

Jan Błoński

I cóż dalej, dziwna monado? : Witkacy u progu niepodległości

Teksty Drugie : teoria literatury, krytyka, interpretacja nr 4 (40), 39-51

1996

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Jan Błoński

**I cóż dalej, dziwna monado?
Witkacy u progu niepodległości**

...cóż dalej, grzeczny Stasiu, nieszczęsny Bungo, panie Stanisławie? Zostałeś jednak w końcu artystą... Pani Sztuka okazała się łaskawsza niż pani Akne: ożywiła twój pędzel i rozwiązała język. Jakby chcąc cię wynagrodzić za gorycze terminowania, obdarowała cię nawet ponad zwykłą miarę. Słyszane to rzeczy, aby w dziesięć lat machnąć ze trzydzieści sztuk, kilkaset obrazów i parę tysięcy rysunków?

Jednak — Stanisławie Ignacy Witkiewiczu — kiedy wysiadłeś z pociągu, który cię latem 1918 roku przywiózł do Krakowa, nie byłeś jeszcze Witkacym, chociaż na pewno nie byłeś już Bungiem. Lubie wyobrazić sobie ten powrót, nie do Polski, ale właśnie do Krakowa. Bo przecież dopiero Kraków był częścią Twojej prywatnej ojczyzny... Konduktorzy wywoływali jeszcze wtedy nazwy stacji. Słyszysz więc zachrypnięty głos, zdejmujesz z siatki (bo w wagonach były siatki) walizkę, a może toból czy worek?... idziesz pod cienkimi arkadami peronu, gdzie czarne sylwetki chałtacıarzy przemykają się w nijakim zmierzchu między gromadami żołnierzy: sukienny tłum paruje otępieniem i zduszonym gwałtem. W jaskrawo oświetlonej restauracji posiła się przed podróżą państwo. W oczach przechodniów czytasz frustrację i wściekłość... Och, jak ty to znasz: ile już razy — w Peter-

sburgu i Kijowie, w Moskwie i Mińsku — czułeś w tych senno-brudnych wieczorach oddech apokalipsy. Czekasz na strzał, na krzyk, od którego zacznie się t o: ślepe, groźne poruszenie tłumu, które zagarnie cię, wchłonie i porzuci niczym zdechłego szczura w rynsztoku... Ale nic się takiego nie zdarza. Przecież jesteś u siebie, w Krakowie. Usłużny bagażowy dostrzega w tobie klienta. Dorożka staje przed czysto umiecioną bramą. Jeszcze chwila, a siedzisz w salonie, między starszym panem w wysokim, sztywnym kołnierzyku („Niemcy muszą zwolnić Piłsudskiego z Magdeburga”) i młodą damą („nic się ta Ela nie postarzała”), która pokazuje ci ostatni numer „Masek”. Sinko bardzo dobrze napisał o Tuwimie, czy pan wie, kto to taki? A Apollinaire? W Rosji na pewno nie czytał pan Apollinaire'a... Chwistek — ach, to przecież pański przyjaciel! — zrobił u nas wielką furorę! Niech pan sobie wyobrazi, twierdzi, że istnieją aż cztery rzeczywistości i że teraz sztuka będzie przedstawiała rzeczywistość wyobrażeń... on maluje kubami, razem z Pronaszką, i nawet hrabia Zamoyski rzeźbi tak, że nie można poznać co to takiego... — Oj, dzieci, dzieci — mówi starszy pan i idzie czytać wiedeńską gazetę. Zielonkawe słońce na kawowym niebie Cejlonu (L, 635), australijska pustynia, gdzie z Bronkiem Malinowskim spotkałeś najprawdziwszych dzikusów, *papojka a la russe* w białą petersburską noc, fontanny wołyńskiego błota, tryskające w niebo po wybuchach granatów, śmierdząca komórka, gdzie zamknąłeś się w strachu przed zbuntowanymi żołnierzami, pijani chłopci, co rozszarpywali maga Childeryka, kiedy bronił przed nimi dworskiej biblioteki... wszystko to płacze się, wykrzywia i tężeje w obraz, w zwariowaną scenę wewnętrznego teatryku, którego reżyserem jesteś ty, ty sam — i słyszysz sam siebie, jak sztucznie energicznym głosem oświadczasz: „Stworzyłem w Rosji nową estetykę. Jutro pozwolę pani pozować sobie do portretu”.

Błazen. Bo przecież byłeś błaznem. Więcej: chciałeś być błaznem. Więc dlatego nazwałeś się Witkacym. Witkacy przypomina Ignacego wbrew Stanisławowi, odróżnia syna od ojca. Witkiewicz brzmi szlachecko, poprawnie, cywilizowanie. Witkacy grubiańsko, pałubiasto, zadzierzyście. Witkiewicz pisze, maluje, wykłada. Jest członkiem społeczeństwa, nie traci z oczu bliźnich, umie się zachować towarzysko. Witkacy obraża, przerywa, wymachuje rękami, wyrzuca za drzwi. Cieszy się, kiedy wywoła skandal. Witkiewicz pamięta, że istnieją reguły: literackie, filozoficzne, obyczajowe. Witkacy wystawia język, stroi grymasy, plecie, co mu ślina na język przyniesie. Jest w każdym momencie sobą, choćby jego j a było najzupełniej nieskładne. Wit-

kiewicz jest kimś, dla kogo istnieje słówko „współ-”. Witkacy określa się wbrew. Ale to nie znaczy, że radzi sobie sam, że nie potrzebuje obecności ludzkiej. Przeciwnie, ludzie są mu niezbędni, byłby bez nich niczem. Stanowią publiczność, którą Witkacy zadziwia, drażni, obraża. I dzięki której sam się w swej odrębności, niezwykłości utwierdza. Staje się osobny, jedyny... Dzięki publiczności pokonuje więc strach. Strach przed sobą — przed własną pustką i nudą, którą rodzi pustka — i strach przed t y m, które przyjdzie, musi przyjść. Przed własną i wszystkiego śmiercią.

Dlatego głosiłeś samotność jednostki, ale nie przedstawiałeś szukać towarzystwa a raczej, publiczności. Sieci zapuszczałeś szeroko: zagarniałeś pisarzy i aktorki, filozofów i górali, panny z ambicjami i doktorowe na wakacjach. Dzielileś przyjaciół na klasy, posyłałeś im pisemne oświadczenia o zaliczeniu do najbliższych albo — częściej — o zerwaniu wszelkich stosunków. Publiczne powiadomienia były twoim ulubionym *hobby*. Zwłaszcza wtedy, kiedy odnosiły się do twoich intymnych sekretów i przeświadczeń. Umiałeś się tak urządzać, aby wszyscy wiedzieli o twoich kochankach: podejrzewam, że najchętniej wystawiałbyś im zaświadczenia... Bawiłeś się narkotykami — nie pierwszy i nie ostatni — ponieważ pozwalały ci zarazem uciec od życia i to życie na mgnienie zintensyfikować. Ale zadbałeś też o to, aby się wszyscy o twoich eksperymentach dowiedzieli... Twierdziłeś także, żeś zakazanych rozkoszy kosztował raz tylko — po to, aby przestrzec amatorów i „wreszcie coś bezpośrednio pożytecznego zdziałać” (ND, 53). Jest więc z tego Witkacego narkoman czy nie jest? — pytano ze zgorzaniem i podziwem. Malując, nie omieszkałeś zaznaczyć na płótnie, czy pędzla nie wspomagał ci peyotl, papieros czy małe piwo. Opisałeś dokładnie, jak się odzwyczajaleś od palenia, jak zwykłeś się golić (maszynką Allegro) i nacierać w kąpeli (szczotką braci Sennebaldt z Bielska). Nie poskapiłeś nam nawet recepty na katar i wskazówki, jak walczyć z hemoroidami, albowiem, jak śpiewał dzielny kawalerzysta, hrabia Xawery X, odjeżdżając na front:

Ja by dawno uż był gieroj
No u mienia jest giemoroj [ND. 182]

Tak się dla czytelników poświęcałeś, chociaż „w pewnych kołach durniów i draniów” były twe życzliwe ludziom porady „przyczyną jeszcze gorszego psucia [twojej] i tak przez wymienione PT. czynniki popsutej opinii” (ND, 171). Kiedy porzuciłeś „artystyczne” malowanie,

przedzierzgnąłeś się w rzemieślnika, w Firmę Portretową: zastrzegłeś się jednak w prospekcie, że „wykluczona a b s o l u t n i e jest wszelka krytyka ze strony klienta”, gdyby bowiem Firma pozwoliła sobie na luksus „wysłuchiwania zdań klientów, musiałaby już dawno zwariować”. A poza tym — ni mniej ni więcej — „portrety kobiece z obnażonymi szyjami i ramionami są o jedną trzecią droższe” (ZF, 564–565)... Zbierałeś listy, fotografie, wycinki, laski, „świeckie relikwie” jak podwiązka Rity Sacchetto i niedopałek Piłsudskiego, preparaty (język noworodka, wyrostek robaczkowy znajomej), rysunki pornograficzne, mapy, prospekty i zabawki, ze szkaradnym karaluchem, wężem i kalejdoskopem włącznie¹... Gdziekolwiek dostrzegłeś pokraczność, chowałeś ją do kieszeni, gdziekolwiek niezborność, nie mogłeś się powstrzymać, aby w nią nie wdepnąć. Co powiedzieć o polemście, który tak oto załatwia spór artysty i znawców:

Rozbemboszeni wielmoże napuszają bomby,
 Bombochy wzdęte pępią rozpucone trąby [...] [ZF, 221]

A co o filozofie, który zaczyna odczyt od uwagi, że za mało wypił, aby się dobrze wysłowić? Potem zaś zachowuje się „jak ktoś, kto chce znacznie więcej reprezentować niż to, czym jest faktycznie”². Twoim ulubionym gestem jest wyjście z roli: malarza, kochanka, filozofa itd. Czyż nie w tym tkwi istota błazeństwa?

Ma ono wszakże rozmaite i nie tylko towarzyskie znaczenia. Zaglądać do duszy Witkiewicza nie będę. Czy jednak Wyka miał słuszość, kiedy zżywał się na „legendę biograficzną”, która wlokła się za Witkacym³? Domyślnie: gdyby nie ta legenda, lepiej by go i szybciej rozumiano. Ale on tę legendę — a raczej obraz własny w spojrzeniu współczesnych — sam tworzył! Ze kleił go z urazów, cierpień, ambicji i namiętności własnych, trudno zaprzeczyć. Ale nie było tak, aby mu gębę Witkacego przyprawiono. Przeciwnie on ją sobie wymodelował, i jakże starannie. W pewnej chwili Bungo zaczął stale zachowywać się tak, jakby był aktorem, jakby znalazł się w sytuacji teatralnej. Tym samym stał się postacią, Witkacym właśnie. Jest bez kwestii, że Witkiewicz grał Witkacego. Ale po co?

¹ O kolekcjach Witkacego por. W. Sztaba *Gra ze sztuką. O twórczości St. I. Witkiewicza*, Kraków 1982, s. 271–282.

² R. Ingarden *Wspomnienie o St. I. Witkiewiczu*, w: *St. I. Witkiewicz. Człowiek i twórca*, Księga pamiątkowa pod red. T. Kotarbińskiego i J. E. Płomieńskiego, Warszawa 1957, s. 169.

³ K. Wyka *Trzy legendy tzw. Witkacego*, „*Twórczość*” 1958 nr 10.

Witkacy? — wspomina Gombrowicz: „wiecznie odstawiający wariata”, „dręczący siebie i innych nieustannym aktorstwem, żądzą epatowania i skupiania na sobie uwagi”⁴. Tak pisał człowiek, który twierdził, że „chciałby — sam — narzucić się ludziom jako osobowość”, „jawnie przystąpić do konstruowania sobie talentu”⁵. Ale w pisaniu, w „dzienniczku”, który miał — niepostrzeżenie — zauroczyć i ujarzmić czytelnika. Może więc Gombrowicz patrzył na sztukę bardziej tradycyjnie niż Witkacy? Lepiej oddzielał strefę życia od strefy sztuki! Pisząc chciał stworzyć „przedmiot” (powieść, sztukę, dziennik), poprzez który narzuciłaby się czytelnikom osobowość. Tak by wynikało z twórczej praktyki, bo w teorii właśnie Witkacy wyraźniej potwierdzał autonomię dzieła, które miało być wolne od wszelkich wewnętrznych „bebechów”.

Może więc sztuka Witkacemu nie wystarczała? Albo uprawiał ją inaczej niż głosił jako teoretyk? Wyśmiałby na pewno każdego, kto by w jego zachowaniu dopatrywał się estetycznych ambicji. Twierdził jednak, że „to (...) co się w naszych miłych czasach wielkiego w sztuce staje, dzieje się prawie zawsze na granicy obłędu” i że „artystami muszą stawać się degeneraci” (NF, 146–147). A może odwrotnie, artyści muszą stawać się dziwakami, wariatami, ekscentrykami? Artysta współczesny byłby wtedy z konieczności ofiarnikiem, co sam siebie w potwora przerabia, aby dopracować się estetycznego dreszczu i formy nieznaney? Co to właściwie znaczy, jeśli pominąć wywody Witkiewicza i pomyśleć o rozwoju sztuki współczesnej chłodniej, z perspektywy Syriusza?

Zobaczmy. Tymczasem przyznajmy tylko, że postać, którą Witkiewicz stworzył — a więc Witkacy — nie może nam być całkiem obojętna. Obojętna dla zrozumienia całej jego twórczości... Bo przecież ta postać jest także — mówiąc uczenie — tekstem kultury, chociaż wyraża się w społecznych zachowaniach, nie w sekwencjach słownych i zestawieniach barw! Przypomina zaś najbardziej aktora, co spostrzegł także Gombrowicz. Witkiewicz przeczuł na pewno trend teatralizacji życia, który wyraził się tak silnie w latach pięćdziesiątych (w USA) i sześćdziesiątych (wszędzie). Lansowali go zwłaszcza artyści, lepsi czy gorsi, ale z niemałym powodzeniem. Beck, Warhol czy Beuys, nic mogli uskarżać się na lekceważenie publiczności. I już, już mogło się zdawać, że granice sztuki staną się niewyraźne, przepuszczalne! Nikt też nie śmiał się zastanawiać, kiedy prorocy mówią po-

⁴ W. Gombrowicz *Dziennik (1961–1966)*, Paryż 1971.

⁵ W. Gombrowicz, tamże, s. 50–51.

ważnie, kiedy zaś podrwiają czy mającą... Także wtedy, kiedy uczyli nowej moralności (czy antymoralności), mądrzyli się politycznie, snuli rozważania o przyszłości świata albo wyręczali profesorów w dociekaniach estetycznych i filozoficznych. Całkiem jak Witkiewicz. Czyż nie napisał on także *Narkotyków* i *Namiętnych dusz*, nie mówiąc o *Pojęciach i twierdzeniach implikowanych przez pojęcie Istnienia*?

Bo przecież, szanowny panie Stanisławie Ignacy Witkiewiczu, byłeś także teoretykiem sztuki i filozofem istnienia. Doczekałeś się nawet chwili, kiedy nad twoimi teoriami pochylili się zgodnie analityczny reista (Kotarbiński), doświadczony estetyk (Tatarkiewicz) i wielce oryginalny fenomenolog (Ingarden). Przyznali ci zgodnie „głęboki oddech intelektualny”, „zmię genialności”, intencję „stworzenia nowego” pojęcia sztuki. Ale zastrzegli się także, żeś był „w filozofii samoukiem” naznaczonym nawet „piętnem niedouczenia”⁶... Czy tylko dlatego, żeś myślał nieporządnie, nie dyskutował punktów spornych, nieraz też nie rozumiał filozofów, których rozstawiałeś po kątach? Chyba nie, bo podobne potknięcia i przywary trafiały się także cięższym łbom. Twój grzech był osobliwszy... i tak wzruszająco anachroniczny, że twoi mentorowie nie śmieli ci go wytknąć. Oto chciałeś powiedzieć wszystko, osiągnąć Prawdę Absolutną — może nie całą najściślej zagarnąć, wyłożyć, ale podejść do niej jak najbliżej, o włos... — i wcale się swego zamysłu nie wstydziłeś. Byłże by twój sukces śmiercią filozofii? Tak, pisałeś przecie, że „filozofia (...) dojdzie z czasem do pewnego systemu raczej negatywnego”, który wyłoniwszy pojęcia i twierdzenia konieczne („implikowane [...] przez właściwości samego istnienia”) — pogodzi „wszystkie sprzeczności, na tle ich syntetycznego ujęcia w poglądzie wspólnym, kompromisowym i to osiągnięcie celu będzie do pewnego stopnia jej śmiercią” (OIR, 167). Chciałeś tę śmierć jak najwydatniej przyspieszyć... Inaczej mówiąc, marzyłeś o tym, aby zostać ostatnim filozofem.

Co tyleż wzruszało, co bawiło twoich dostojnych kolegów. Bo przecież — myślałeś — prawda może być tylko jedna i największe „systemy” przeszłości ją właśnie chciały złowić w siatkę definicji. Jakbyś nie pamiętał, że po Kancie filozofom nie uchodzi myśleć inaczej, niż w określonych sobie granicach! Bo skoro nie można udowodnić istnienia Boga, czy nie należy choć przez chwilę pomyśleć, co i jak można w ogóle wykazać? Sądziłeś jednak, że dość wmyśleć się w Ist-

⁶ R. Ingarden *Wspomnienie...*, s. 174, 172. T. Kotarbiński *Filozofia St. I. Witkiewicza*, w: *St. I. Witkiewicz...*, s. 13. W. Tatarkiewicz *Dzieje sześciu pojęć*, Warszawa 1975, s. 42.

nienie, aby wyłonić wszystkie jego konieczne własności. Cóż z tego, że szeregowały ci się w dwa niezgodne porządki? To właśnie — krzyczałeś — jest Tajemnicą, o którą rozbijały się wysiłki pokoleń! Kiedy zostanie przyszpilona myślowo, pojęciowo określona i logicznie przystemplowana — można będzie zamknąć wreszcie filozoficzny sklepik i ułożyć się spokojnie do wiecznego snu. Jak brzmiało to zdanie, któreś zapisał, mając siedemnaście lat i które później powtarzałeś jak zaklęcie, wkładając je w usta swoim bohaterom? „Jeżeli coś istnieje, to tym samym zaprzecza temu *principium*, według którego istnieje” (OIR, 19). Temu zdaniu, odnalezionemu długo po twojej śmierci, pozostałeś wierny. Owszem, uprawiałeś filozofię, zajadle i nie bez talentu. Ale trochę tak, jak dziecko czy poeta? — porażeni niezrozumiałym olśnieniem. Czuli to filozofowie, którzy kiwając głowami opukiwali twego „główniaka”, słynne *Pojęcia i twierdzenia*. I może nawet ci trochę zazdrościli.

Ale zarazem czuli się w roli panów kolegów nieswojo. Bo przecie jest w twojej filozofii coś dziwnego, osobliwego. Powiedzmy najpierw ostrożniej: w filozofowaniu. „Jak” wykładu bywa czasem równie ciekawe, co jego „co”. Poglądy swe wyłożył Witkiewicz w 1918 na sześciu stronach *Nowych form*. W roku 1936 streścił je (jak przyznał Witkiewicz, wiernie) Kotarbiński: także na sześciu... W 1957 wystarczyły mu trzy, razem z krytyką. Kończył znamienym słówkiem: „Oto wszystko. Wszystkie główne myśli, składające się na Witkiewiczowski monadyzm biologiczny”⁷. Zwięzłość nie jest argumentem przeciw. Dowodzi jednak, że filozofia Witkiewicza nie jest szczególnie trudna do uchwycenia. A przede wszystkim, że jest w niej rys arbitralności, apodyktyczności... Witkiewicz częściej obwieszcza niż przekonuje. Jeśli zaś przekonuje, to zwłaszcza po to, aby powrócić do formuł, które zapisał sobie — niczym ewangelię — w roku 1917 czy 1918. Bo to nieprawda, że cokolwiek ważnego zmienił w ostatnich latach życia⁸.

⁷ T. Kotarbiński *Filozofia St. I. Witkiewicza*, s. 17.

⁸ Utrzymuje tak — wbrew Witkiewiczowi („główniak mój przepisywałem pięć razy od r. 1917 [...], przy czym zasadnicze idee pozostały absolutnie niezmienione” OIR, 295, także 406) — B. Michalski w posłowie do ZM oraz w *Polemikach filozoficznych St. I. Witkiewicza*, Warszawa 1979. Jak wiadomo, *Pojęcia* pochodzą z roku 1932, wyd. 1935. Gdyby zatem Witkiewicz zmienił swe stanowisko filozoficzne, to potem, w *Zagadnieniu psychofizycznym*. Literaturoznawcę może to już nie obchodzić, jako że literaturą się Witkiewicz wtedy już nie zajmował. Dlaczego jednak chciałbym się przeciwstawić opinii B. Michalskiego i Sarny? Oto zmierzają one do wywołania wrażenia, że Witkiewicz porzucił pod koniec życia swe opinie estetyczne i historiozoficzne. Chociażem nie filozof, pozwolę sobie zauważyć, co następuje: z faktu, że Witkiewicz takich opinii (prawie) nie wypowiadał, nie wolno wnioskować, że zmienił uprzednie. Raczej — nie

Co najwyżej cieniował, oświetlał, dopowiadał... W zakończeniu *Pojęć* zjawiają się wszystkie tezy, które — bardziej literacko — obecne są na początku *Nowych form*: jedność i wielość, jakość jedności (źródło „niepokoju metafizycznego”), Tajemnica Istnienia, tyle że „niezróżniczkowana” (OIR, 511). Identyczne są: filozoficzna dyskredytacja etyki i wywód o pochodzeniu sztuki... *Pojęcia* Witkiewicz przerabiał („przepisywał”) pięć razy. I przynajmniej tyleż razy wygłaszał je po czasopismach, w skrótach i streszczeniach, ale zawsze całościowo. Zjawiają się także — ale zniekształcone, czasem jaskrawie — w wypowiedziach jego literackich bohaterów. Było więc tak, jakby rozpaczliwie szukał formuł, które jego „system” uczynią nieodpartym. Zarazem ani na krok nie ustępował w polemikach, nie tylko merytorycznych. Nie mógł znieść, aby jego myśli wypowiedziano innym językiem („to Kotarbiński musi rozszerzyć swój słownik, a nie ja muszę (...) zwęzić”) i odrzucał stanowczo żądanie logicznego uściślenia niezgodnych twierdzeń; „to, co wylicza Kotarbiński, nie jest jej [=jego rozprawy] usterką, tylko zadaniem” (OIR, 299–300⁹). W istocie Witkiewicz mówi wciąż to samo, uderzając w opór czytelników jak mucha o szybę. Jego system (lubił to słowo, które zestawić można ze spoistym „przedmiotem”, za jaki uważał w istocie dzieło sztuki) — jego więc system jest dany do przyjęcia, jak wiersz, sonata czy martwa natura dane są do przeżycia. I niczego w nich nie trzeba zmieniać, przekształcać czy przemalowywać... Czy już zresztą myśl, że prawdę można złożyć ze sprzeczności, nie jest myślą artysty, nie filozofa?¹⁰ Właśnie wiersz, obraz, rodzą się często z pragnienia pogodzenia ognia z wodą...

miał w tych sprawach nic nowego do powiedzenia. Co zaś do „optymistycznej prognozy przyszłych losów filozofii” (ZP, 440), to przesunięcie jej końca w nieco dalszą przyszłość nie świadczy o optymizmie. W latach dwudziestych Witkiewicz głosił koniec sztuki, a pisał i malował jak maszyna. Trudno żyć zupełnie bez nadziei, choćby na krótką metę. Chyba, że popełni się samobójstwo. Co też Witkiewicz zrobił 18 września 1939 roku. Może to sobie pp. Michalski i Sarna z czymś skojarzą. Co zaś do opinii, że z filozofii nie można przejść w p r o s t do literatury Witkiewicza, że stanowią one przedsięwzięcia równoległe — zgoda.

⁹ Dlaczego z konieczności zniekształcone, postaram się wyjaśnić we właściwym miejscu.

¹⁰ Por. również J. Leszczyński *Filozof metafizycznego niepokoju*, w: *St. I. Witkiewicz. Człowiek i twórca...*, s. 95: „Witkiewicz to rozdwojenie swoje i tę dwufasadowość swojego systemu uważał (...) za coś najbardziej istotnego, a bynajmniej nie za wadę: za coś, co jest konsekwencją samej struktury istnienia”. Inaczej: Witkiewicz chciał jednolicie (logicznie) opisać dwoistość (sprzeczność) tkwiącą w istnieniu. Kwadratura koła, jeżeli chce się opisać „wszystko”, nie odkreślając swoim dociekaniom ograniczonego miejsca. Właśnie to założenie czyni — w ostatecznym rachunku — filozofowanie Witkiewicza przedsięwzięciem skazanym na porażkę... choć intelektualnie (i zapewne *sui generis* estetycznie) interesującym.

Filozofowanie Witkiewicza — myślę teraz nie o tezach, lecz o dyskursie — zorientowane jest jawnie ku odbiorcy, którego ma olśnić, zaskoczyć, zastraszyć. Stąd ostentacja ścisłości, terror (rzekomej) poprawności logicznej. Ponieważ logistycy powprowadzali rozmaite „znaczkę”, na których dokonują zawyłych operacji, Witkiewicz popstrzył *Pojęcia i twierdzenia* rozmaitymi IP, ARN i XrN, które są po prostu — skrótami (nie symbolami!), nieznośnie utrudniającymi lekturę. Liczył, że swą magią skutecznie zaszantażują czytelnika... *Pojęcia* składają się z czterdziestu dwu paragrafów, poprzedzonych czy podsumowanych twierdzeniami. Ale te twierdzenia nie są żadnymi twierdzeniami, tylko streszczeniem wywodu, często nieścisłym, bo pojawiają się w nich nieraz nowe tezy! W istocie Witkiewicz naśladuje tylko formę traktatu, który swą spoistością łamie wszelki opór czytelnika. Ostatnie zdanie, mówiące o Tajemnicy Metafizycznej, wynikać ma nieodparcie z pierwszego, głoszącego, że „Pojęcie jednego, jedynego Istnienia (...) równoznaczne jest z pojęciem Nicości” (OIR, 511, 414).

Stąd także argumenty *ad hominem* i zajadłość w połajankach, którymi Witkiewicz częstuje sceptyków i oponentów. Przygnębiony, że tak niewielu przekonał, wpada Witkiewicz — za Kretschmerem — na pomysł, że przewadze filozoficznych „empiryków” nad „absolutystami” (do których się sam zalicza) odpowiada zanikanie — ?! — asteników-schizoidów na rzecz pykników-cyklidów... Ludzkość „pykniczeje”, nie pozostaje nic innego jak zawołać: „Schizoidy wszystkich krajów, łączcie się ze sobą!” (OIR, 50, także ND, 195–211). Witkiewicz w i e, że pisze głupstwa¹¹. Ale rżnie odważnie dalej, bo śmieszne to pyk! pykniczenie ludzkości, i kto wie, może kogo zadziwi i przekona! Gdzie indziej: „Chwistek produkuje zdrową ożywczą ciecz w głębi swej psychofizycznej istoty. Ale ciecz ta, przechodząc przez zawyły alembik jego twórczości, zaraża się wydzielinami pobocznych gruczołów i opuszcza organizm jako blekot pierwszej klasy, który wtórnym działaniem zatrzuwa swego produktora i czyni zeń tego potwora, którego tu właśnie «woma» opisuję” (OIR, 169). Oznacza to, że logistyczne zdolności Chwistka nie idą bynajmniej w parze z filozoficzną oryginalnością. W całej tej rozprawie jedno rzeczowe (i słuszne!) spostrzeżenie (to mianowicie, że Chwistek nazywa „poglądy” — „rzeczywistościami”) tonie w pięćdziesięciu tomach sztubackiej psychomachii, którą z lubością chłoniemy, niczym

¹¹ Zaznacza: „wygasająca według mnie rasa schizoidów” (OIR, 50). Według mnie!

chłopcy oklaskujący bójkę dwu kolegów na gimnazjalnym podwórku...

Ale nie koniec na tym. To filozofowanie, choć apodyktyczne, zdaje się zarazem podszyte niepewnością. Rozpięte jest jakby między chęcią zafascynowania słuchacza a przekonaniem, że ten i tak niczego nie zrozumie. Między pragnieniem wypowiedzenia absolutnej prawdy a poczuciem, że to zupełnie niemożliwe. Stąd stałe nawroty do początku, do najpierwszych, najgłębszych przeświadczeń. Stąd mnożenie wstępów, streszczeń, popularnych opracowań własnych myśli, którymi Witkiewicz hojnie częstuje czytelników gazet (skądinąd zapewne ubawionych werwą pisarza). Stąd maniakalna (ludyczna? klasyfikacyjna? praktyczna?) dokładność w analizie pasjonujących Witkiewicza szczegółów (jak *quasi*-rzemieślniczego rozdziału o kolorach — NF, 53–73 — albo rozwlekła próba przełożenia fizykalnego pojęcia ruchu na terminy psychologizmu Corneliusa, OIR, 487–505). Stąd w tych ścisłych rzekomo wywodach na wpół tylko ukryte kapitulacje, jak przyznanie, że „określenie jedności IP uważamy za pseudodefinicję, ale nie definicję zupełną” (OIR, 511). A chodzi o nic innego, jak o jakość jedności, na której opiera się cała estetyka Witkiewicza¹²... Albo cichcem wprowadzane przesłanki, jak ów „Związek Wszystkiego ze Wszystkim”, co jak Filip z konopi wyskakuje w twierdzeniu jedenastym (OIR, 433). Jeśli nie przy drugim, to przy czwartym przepisywaniu „główniaka” musiał Witkiewicz takie dowolności zauważyć¹³. A jednak przechodził nad nimi do porządku. Całkiem jak malarz, któremu w martwej naturze „nie zgadza się” krawędź stołu, ale cóż z tego? — przecież zgadza się całość kompozycji, ona zaś tylko liczy się artystycznie!

Wszystko to sprawia, że z filozofowania Witkiewicza emanuje niepowaga. Oscyluje ono między objawieniem (proroctwem) a błażństwem (czy parodią). Roi się tutaj od — wielce zabawnych i literacko udanych! — dowcipów, formuł, powiedzeń, „wieszadeł na psy” (OIR, 369), „pojęć bezpłciowych wprowadzanych tylnymi schodami” (OIR, 293), „scarnapień” (od filozofa Carnapa, OIR, 168), „logistyk (...) płodnych jak króliczyce” (OIR, 167). Pojawiają się nie tylko w polemikach, także tam, gdzie Witkiewicz przemawia niejako od siebie-człowieka, a nawet w toku uczonego wywodu. Czytamy więc,

¹² Co Witkiewicz uważał za pseudodefinicję, dowiadujemy się z przypisu o sto stron wcześniej: „Pseudodefinicją nazywam poprawne określenie danego pojęcia, jednak nie wyczerpujące całkowicie całej jego treści, której część pozostaje niesprawdzalną” (OIR, 411).

¹³ Zwrócił mu też na to uwagę J. Leszczyński *Filozof metafizycznego niepokoju...*, s. 113.

że Witkiewicz problemy bierze „za rogi, zamiast pod ogon”, jak to czyni fizykalny materializm (OIR, 404). Że Giordano Bruno „okrutną śmiercią przypłacił swoje przekonania” nieco podobne do Witkiewiczowskich: *Avis aux monadistes!* — swoje „Strzeżcie się monadyści! (OIR, 303). Swoją traktat nazywa Witkiewicz uporczywie „główniakiem”, co nawet wyrozumiałemu Kotarbińskiemu sprowadza grymas na usta¹⁴... Co zaś powiedzieć o motto, poprzedzającym teorię pojęć: „Pojęciowość w ogóle polega na tym, że pewne bydlęta nalepią te same znaczki na podobne przedmioty” (OIR, 512). Choćby nie wiem jak uczenie, uzasadniał Witkiewicz swój nominalizm, trudno opędzić się od widoku nosorożca, naklejającego pocztowe marki na banany...

Doprawdy, nie chciałbym Witkiewicza — myśliciela lekceważyć czy obrażać. Lepsza czy gorsza, jego filozofia pozostaje filozofią. Jej *genre* (czy styl) sygnalizuje jednak nie tylko nierównowagę autora. Nietzsche był na pewno większym wariatem niż Witkiewicz. Ten ostatni umiał się zresztą w potrzebie opanować, czego dowodem, że inaczej polemizował z profesorami, na których mu zależało, inaczej z krytykami literackimi, których miał w pięcie. Choć i Kotarbińskiemu wytknął, „en ma qualité d'homme de lettres”, że pisze „zakalcowato” (OIR, 300)... Filozofia Witkiewicza pretenduje do prawdziwości, ale inaczej, niż zazwyczaj bywało. Nie chce cierpliwie przecierać ścieżek poznaniu. Pragnie wypowiedzieć wszystko i umilknąć. Nie zaprasza do dialogu i (mimo grzecznościowych zapewnień) nie domaga się kontynuacji. Jest anachronicznym rzutem w niebo tajemnicy... ale także, osobistym, prywatnym jakby przedsięwzięciem, które sprawdza się umożliwiając polemikę i zadziwiająco czytelnika. Inaczej, pozwala Witkiewiczowi mówić a czytelnikowi — przeżywać intelektualną przygodę... Po to, aby to mówienie i przeżywanie było możliwe, musi zakładać, że prawda może zostać osiągnięta. Ale zarazem Witkiewicz wie dobrze, że narusza zwyczaje i reguły filozoficznego dyskursu...

Sprawia mu to też niewątpliwą przyjemność. Doszedł w końcu do hipotezy raczej fantastycznej, tej mianowicie, że „istnieją tylko monady i jakości”¹⁵. Że całe Istnienie da się zrozumieć najskładniej jako zbiorowisko Istnień Poszczególnych, żywych skupień ma-

¹⁴ T. Kotarbiński *Filozofia St. I. Witkiewicza*, s. 14: „do takich embrionów należy (...) *sit venia verbo*, główniak”. Embrion jest potworny, bo nierozwinięty. Kotarbiński mówi to samo co ja (a raczej odwrotnie): filozofowanie Witkiewicza jest repetytywne i nieoperacyjne.

¹⁵ T. Kotarbiński *Filozofia St. I. Witkiewicza*, s. 14.

terii... Więc „zegarek składa się z żyjątek”, jak dowcipnie podsumował Kotarbiński¹⁶? Witkiewicz nie zaprzeczał, złościł się tylko na złośliwą bezceremonialność sformułowania. Bo też dostrzegał doskonale osobliwość swego stanowiska: czyż się nie chwalił, że współcześnie tylko on i nie znany nam bliżej profesor Wildon Carr z Londynu doszli do podobnych wniosków (OIR, 363)? Jakąż to dziwną roślinę wyhodował sobie z twierdzenia, że „Istnienie jest jedno i tożsame jest ze sobą” (NF, 5)! Zastrzegał się, snując chemiczno-ontologiczne rozważania, że ta chemia jakości nie jest „zupełnie fantastyczna” (OIR, 494). Że machowski psychologizm, „nie mówiąc już o fizykalnym materializmie”, to koncepcje „nieporównanie dziwniejsze niż moja” (OIR, 492). Ale dodawał, że i ona jest „zasadniczo niesprawdzalna, a tylko wychodząca z ogólnych, koniecznych według nas, założeń o Istnieniu w ogóle” (OIR, 496).

Owa osobliwość i niesprawdzalność nic mu nie przeszkadzały, przeciwnie. Jeżeli stanął sam przeciw areopagowi Filozofów, tym lepiej! I tym (dopowiedzmy) zabawniej, boć przecie — jako jednostka — także stoi naprzeciw całości Istnienia i afirmuje swą niezbywalną odrębność¹⁷! Podoba mu się ten dziwaczny pomnik filozoficznej myśli, jakby cieszyła go myśl, że taki zeń Leibniz-dadaista! I broni go zaciekle, choć widzi, ile w nim wysilenia, osobliwości, pokraczności nawet! A nawet to wysilenie i dziwność podkreśla i stylistycznie unaocznia. Jest trochę tak, jakby filozofia Witkiewicza czerpała swą prawomocność nie tyle z tradycji problemów i przeświadczenia uczonych, ile ze śmiałości i oryginalności myślowego gestu twórcy... Twórcy, który jest bardziej artyście podobny niż filozofowi. Bo tylko w artyście współistnieć może powaga i parodia, prawda i udanie, prorok i błazen. Cóż dopiero w artyście współczesnym.

Czy to znaczy, że można traktować tę filozofię (z estetyką włącznie) jako artystyczną mistyfikację? Że nie mówi ona nic o człowieku i o świecie? Przeciwnie, mówi bardzo wiele: zbudowała ją przecie Witkiewicz ze swoich najgłębszych przeświadczeń. Ale obawiałbym się powiedzieć, że jest ona racjonalizacją artystycznej twórczości Witkiewicza. Jej myślową auto-interpretacją albo intelektualnym substratem. Chyba jest tak, że należy ją postawić nie nad, lecz o b o k

¹⁶ Tamże, s. 15.

¹⁷ Czy nie napisał, że „główną wadą współczesnej filozofii w jej różnych odcieniach jest negowanie ważności osobowości, jako czegoś pierwotnego, bezpośrednio danego” (OIR, 553)? I polemizował — co ważne, a niedostatecznie podkreślane — przede wszystkim z poglądami, które tej „pierwotnie danej” osobowości nie uwzględniały.

powieści, sztuk czy obrazów autora. Zwykle badacze, krytycy zaglądali najpierw do programów, teorii Witkiewicza, potem zaś przechodzili do dzieł. Musieli więc najpierw zapytać, czy te dzieła z programami zgodne? I odpowiadali, że niezgodne, zgodne albo zgodne częściowo, pod rozmaitymi warunkami: przyznania pierwszeństwa katastroficznemu prorocत्वu, ograniczenia stosowalności teorii albo rozszerzenia znaczenia Witkiewiczowskich terminów¹⁸...

Czyli, że program napisał Witkiewicz, sztukę zaś uprawiał Witkacy. Ja jednak upierałbym się raczej przy zdaniu, że w dojrzałym Witkiewiczu Witkacy jest zawsze obecny. Albo też, że stanowi on twórczą osobowość Witkiewicza, obojętnie czy ten malował, pisał, filozofował, czy też przepajał (pseudo -?) artystycznymi gestami swe codzienne zachowania. Inaczej mówiąc, żadnej z dziedzin jego działalności nie przyznałbym pierwszeństwa. Pytanie, czy u Witkiewicza teoria (program) zgadzała się z praktyką (artystyczną twórczością) jest tylko w połowie sensowne. Jest sensowne o tyle, o ile teoria i praktyka są u Witkiewicza podobne. Co nie znaczy, że pierwsza była dyrektywą, druga zaś zwykłą aplikacją. Ani praktyka nie służy grzecznie teorii, ani teoria nie wyczerpuje praktyki, one się tylko oświetlają wzajemnie. W istocie wszystkie dziedziny twórczości Witkiewicza były raczej równoległe niż od siebie pochodne czy sobie podporządkowane. Ale myślę, że literatura — gdzie na pewno sięgnął najwyżej — wyraża też Witkiewicza najpełniej, obejmuje z Witkacego najwięcej. Więc jeśli już, to raczej ona objaśnia (czy pomaga zrozumieć) estetykę, filozofię, malarstwo, projekt życia ...nie odwrotnie.

Dziwna monada, której na nazwisko Witkiewicz-Witkacy, była jednak zwierzęciem przede wszystkim literackim.

¹⁸ Por. m.in.: K. Irzykowski *Walka o treść. Studia z literackiej teorii poznania*, Warszawa 1929, M. Szpakowska *Światopogląd St. I. Witkiewicza*, Wrocław 1976, A. Mencwel *Witkacego jedność w wielości*, w: *Sprawa sensu*, Warszawa 1974, K. Pomian *Powieść jako wypowiedź filozoficzna*, oraz: *Filozofia Witkacego*, w: *Człowiek pośród rzeczy*, Warszawa 1973. — Moje stanowisko jest w tej sprawie najbliższe ujęciom K. Pomiana i W. Sztaby (*Gra ze sztuką*, Kraków 1982). Z tym, że Pomiana interesuje najbardziej Witkiewicz filozof (w literaturze), Sztabę zaś malarz (także w działaniach para-malarskich czy para-artystycznych).